

Pościg
[Dark]
autor: Malvagio

Biegnę. Biegnę szaleńczo przez czarny korytarz, rozświetlany jedynie słabym ogniem pochodni. Nie zatrzymując się, spoglądam za siebie raz za razem. Próbuje przebić wzrokiem całun mroku. Nie dostrzegam niczego... ale staram się biec jeszcze szybciej. Ciało odmawia jednak posłuszeństwa. Szybciej, błagam, szybciej! Nie dostrzegam niczego, nie słyszę niczego, ale wiem...

Wiem, że wkrótce **jego**... łowy zaczną się na dobre.

Jedna noc. Tylko jedna noc. Jeśli zdołam ukryć się przed... przed **nim** na całą noc, jedną, jedyną noc... wypuści mnie. Tak obiecał... obiecał! Wciąż pamiętam słowa, jakie usłyszałam od **niego** pierwszego dnia, wciąż je słyszę... widzę, jakby wypalił je ogniem. Słowa wypowiedziane z kpiarską pieśczołliwością, na wspomnienie której zimny dreszcz przechodzi wzdłuż grzbietu. Ostatnie słowa, jakie od **niego** usłyszałam. Od tamtej pory jedynie... jedynie patrzył. Śmiał się. Warczał. Ale już nigdy więcej się do mnie nie odezwał...

Dla **niego** jestem tylko... rzeczą.

Korytarz zdaje się ciągnąć w nieskończoność. Wodzę przerażonym spojrzeniem po ścianach, próbując przypomnieć sobie, czy byłam tu kiedykolwiek wcześniej. Nie pamiętam tego miejsca. Nie pamiętam go w Kryształowym Pałacu. Nie pamiętam go też w jego poczerniałym, wypaczonym odbiciu. Wcześniej... wcześniej nie było tu takich długich przejść. Jestem tego pewna. Pewna! Czuję, że przerażenie zaczyna ustępować miejsca panice. To miejsce, to przekłete miejsce każdej nocy wygląda zupełnie inaczej! Czy naprawdę...? Może to jedynie strach mąci mi zmysły, ale... nie wiem! Nie wiem, gdzie jestem! Ale nie mogę się cofnąć, muszę biec dalej! Przyspieszam swój cwał i niemal natychmiast upadam, a mój pyszczek uderza o twardą posadzkę. Boję się. Jestem pewna, że widziałam cofającą się w mrok mackę! Tak bardzo się boję... Czuję strużkę krwi wypływającą mi z ust. Czuję wybity ząb i chce mi się płakać, i wyć z bólu, który jest i który dopiero nadejdzie. Nie pierwszy raz straciłam ząb... Nie pierwszy raz sprawi, że odrośnie... Ale nie tego boję się teraz najbardziej.

Czuję, że cienie mnie obserwują.

Są wszędzie, teraz je widzę... Tańczą w słabym świetle purpurowych płomieni. Wiją się niczym oślizgłe węże. Jest ich tak wiele, zbyt wiele. I żaden nie jest mój. Muszę biec, ale... nie mogę. One wszystkie na mnie patrzą! Podnoszę się tylko po to, by usiąść pod jedną ze ścian i zakryć pyszczek. Do krwi dołączają łyzy. Cienie wlepiają we mnie swoje ślepie. **Jego** ślepie, **jego** szydercze spojrzenie. Szepczą... Niemal czuję na sobie ich dotyk... widzę ich wyciągnięte kopyta... W końcu odnajduję siłę, a może kolejne uderzenie strachu, i zrywam się do dalszego biegu. Byle dobiec do końca

korytarza, byle uciec od cieni i ich wzroku! Może powinnam zgasić pochodnie? Może to zamknęłoby wszystkie oczy? Ale wówczas otoczą mnie ciemności! A jeśli to jeden wielki cień? Nie mogę ryzykować, nie mogę, muszę biec, muszę się ukryć!

Jak moje sińce, skryte za pozbawioną blasku sierścią.

Ponury korytarz nareszcie się kończy, a cienie zostają daleko za mną, pochłonięte przez narastającą ciemność. Dopiero teraz ocieram pyszczek z krwi i próbuję uspokoić oddech, ale moje płuca nie mogą utrzymać go nawet przez sekundę. Serce łomocze mi jak oszalałe. Ile minęło czasu, odkąd ruszyłam? Jak długo biegłam przez korytarz? Nie wiem... nie wiem... i wciąż nie wiem, gdzie jestem. Przede mną widzę tylko dwoje wrót. Pułapka. Jedne z nich muszą być pułapką. Przygryzam wargę, gdy dociera do mnie, że nie tylko jedno. Drzwiom nie można ufać, nie można im wierzyć, nie tutaj, nie w **jego** pałacu. Które wybrać? KTÓRE?! Może zawrócić? Nie... nie mogę wrócić, nie korytarzem cieni... Wbiegnę prosto w **niego**! **On** już na pewno ruszył moim śladem! Rzucam się w stronę drzwi po prawej stronie. Nie ustępują. Odwracam się i zaczynam uderzać w nie tylnymi kopytami. Nie ustępują, wciąż nie ustępują! Wraz z ostatnim uderzeniem słyszę skrzypnięcie, gdy drzwi po LEWEJ stronie uchylają się nieznacznie. Jakby mnie zapraszały... Przełykam ślinę i zbliżam się do nich ostrożnie... Jedno spojrzenie przez szczelinę wyrwa mi z gardła pisk grozy. Odsuwam się gwałtownie i uderzam w przeciwną ścianę. Pochłoń mnie, błagam, pożyj mnie, tylko nie każ mi tam wchodzić!

Czerwona komnata.

Ze wszystkich możliwych pomieszczeń, tego jednego nie chciałam oglądać, tego jednego chciałam uniknąć, uniknąć za wszelką cenę! Ten jeden pokój... straszniejszy niż wszystkie pozostałe... razem wzięte. Nie chcę... ja nie chcę... nie chcę tam wchodzić... Rzucam się panicznie do zamkniętych drzwi. Nie chcę! Z całej siły uderzam w nie kopytami, ale nie ustępują. Nie chcę! Uderzam w nie całym ciałem i z jękiem osuwam się na posadzkę, gdy wrota pozostają niewzruszone. Nie chcę... ale nie mogę zawrócić. Nie chcę... ale spowita w szkarłat komnata jest jedyną drogą naprzód... jest jedyną, okrutną szansą... Raz jeszcze przełykam ślinę i zbliżam się do drzwi. Kiedy tylko przekraczam próg, moje ciało kuli się samo. Ogon, bez udziału woli, kurczowo do niego przylega. Nogi zastygają w bezruchu, odmawiając posłuszeństwa.

Błagam siebie, bym tam nie wchodziła.

Czerwona komnata jest inna od pozostałych. Czerwona komnata jest miękka i duszna od ciężkich zasłon i dywanu okrywającego posadzkę. Czerwona komnata jest bagnem. Czerwona komnata jest zdradliwym trzęsawiskiem, wyciągającym po mnie swoje lepkie, ohydne macki i próbującym mnie zadusić. Czerwona komnata jest żywa, a jej odrażające serce bije za zasuniętymi w tej chwili kotarami. Czerwona komnata jest brudna. Czerwona komnata jest **nim**. Czerwona komnata jest obrzydliwym, brudnym bagnem. Czerwona komnata jest we mnie.

Czerwona... komnata... wpycha... we... mnie... swój... brud...

Ostrożnie pełnę przy ścianie, jak najdalej od zasłon, jak najdalej od uśpionego serca. Cicho... cicho... jak najciszej... żeby go tylko nie zbudzić... Opuszczam głowę, wbijając spojrzenie w podłogę. Zaciskam mocno powieki. Nie patrzeć. **On** zawsze każe patrzeć. Nie patrzeć. Nie widzieć. Zwłaszcza lustro stojącego naprzeciw serca... Okrutnego zwierciadła widzącego wszystko i wszystko zapamiętującego i nieodmiennie przywołującego wciąż i wciąż powtarzające się obrazy... **On** zawsze każe patrzeć. Pełnę powoli, ale niczego nie widzę i potykam się o wyrzucenie dywanu. Nie mogę się podnieść! Nie mogę się podnieść! Duszę się, mój pyszczek zaplątał się w kobierzec, wciąga mnie, wciąga niczym bagno! Mimowolnie otwieram oczy i chcę krzyczeć, może krzyczę, ale dywan zagłusza wszystkie dźwięki! Kotary się poruszyły, jestem pewna, że się poruszyły, nie, nie, nie, muszę się stąd wydostać! Kątem oka dostrzegam w zwierciadle swoje odbicie i dopiero wtedy udaje mi się zerwać na nogi... Nie, nie wyrwałam się, wiem, że się nie wyrwałam, to dywan mnie PUŚCIŁ, zawsze każe patrzeć! Płacząc, ostatnie metry komnaty pokonuję cwałem.

Drzwi zatrząskują się za mną z hukiem.

Przebiegam jeszcze parę kroków, zanim osuwam się na posadzkę. Niedobrze mi, ale choć mdłości szarpią mym ciałem, nie mogę zwymiotować. Nie mogę zrobić nawet tego. Nie mogę zrobić nic, nic, tylko poddać się łzom. Nie powstrzymuję ich. Tylko jedna noc... ale ja wiem... wiem, że to kłamstwo. W Czarnym Pałacu nie ma kryjówek, nie ma bezpiecznych miejsc... **On** mnie nie wypuści... nigdy mnie nie wypuści... Każe mi tylko wierzyć, że jest inaczej... Karmi mnie nadzieją, rozpalając udrękę coraz mocniej... Karmi mnie trucizną. To wszystko jest tylko elementem **jego** chorej gry, wiem to... Ale mimo wszystko wciąż wierzę, że mogę ją wygrać...

Nic innego mi już nie pozostaje.

W końcu przełamuję mdłości na tyle, by stanąć ponownie na nogi. Nie mam siły biec, więc ruszam chwiejnym krokiem, co parę metrów opierając się o ścianę. Wciąż się boję, ale jednocześnie czuję ulgę, że oddalam się od przeklętej komnaty. Szybko ustępuje ona jednak miejsca zimnu, które przenika całe moje ciało. Zatrzymuję się. Coś jest nie tak, coś jest okropnie nie tak. Ten chłód nie jest naturalny i nie pochodzi ode mnie. Nagle gasną pochodnie, a korytarz pogrąża się w całkowitej ciemności. Nie. Nie... Moje nogi wrastają w ziemię. Czuję na sobie czyjś wzrok... Niemal mechanicznie odwracam powoli głowę, a moje oczy napotykają zielone spojrzenie... **ON TU JEST! ON TU JEST! ON TU JEST!** Rzucam się do ucieczki, biegnę, pomimo wyczerpania biegnę, kiedy panika dodaje mi sił. Biegnę, ale nie jestem w stanie uciec, zieleń jest wszędzie, widzę ją przed sobą i obok siebie, pod sobą, nad sobą, jadowite spojrzenie jest wszędzie dookoła mnie! Z mojej piersi wyrwa się obłąkańczy wrzask, znalazł mnie, nie ma sensu się powstrzymywać, znalazł mnie, już za chwilę wszystko się skończy, słodka Amaro, znalazł mnie... Zielone oczy wyrastają tuż przede mną, nie zdążę

skręcić, ani się zatrzymać. To koniec, to koniec... zamykam powieki i gotuję się na najgorsze, kiedy nagle uderzam w coś twardego i ląduję na posadzce. Zdezorientowana otwieram oczy i dostrzegam, że pochodnie znów płoną. Dostrzegam swoje własne odbicie w wypolerowanej obsydianowej ścianie, a mój pyszczek wykrzywia bolesny spazm.

Moje oczy są **jego** oczyma.

W tym momencie pojmuję, że gra ma jeszcze jeden wymiar... Że **on** szydzi sobie ze mnie, z moich rodaków, z nas wszystkich. Nawet jeśli mnie wypuści... weźmie sobie inną. A ja tego... *chcę*. Czuję, że po moich policzkach znów spływają łzy, ale moje odbicie nie płacze. Ja *CHCĘ*, żeby robił to wszystko komuś innemu, żeby tylko nie robił tego mnie... Spuszczam głowę. Nie ma już ducha miłości i jedności... **on** go zabił. Zabił go we mnie! Jestem... czy ja jestem... potworem? Jestem nim... Nie jestem... Jestem... NIE! Podnoszę gwałtownie wzrok i zaczynam uderzać z całej siły kopytkiem o ścianę, atakuję swoje odbicie, próbuję wyłupić mu te przekłute oczy! Nie jestem taka, nie jestem, nie jestem, to nie to samo, to nie jest to samo! Nie chcę krzywdy innych! Ja po prostu... nie chcę dłużej własnej...

Czy takie pragnienie czyni mnie złą...?

Uderzam zapamiętane w ścianę, dopóki nie orientuję się, że moje odbicia zniknęły. Jakby nigdy ich tutaj nie było. Czarny kryształ jest matowy. Matowy. Nic się w nim nie odbija. Nic! W żadnym z nich! Ale przecież ja... widziałam... One tu były! Wiem, że były! Dygoczę, cofając się o kilka kroków i przykładając sobie obolałe kopyto do ust. To cienie mącą mi wzrok... bawią się ze mną... Czuję, że pyszczek wykrzywia mi obłąkańczy grymas... i dziękuję, że nie mogę go teraz zobaczyć. Że... nikt... nie może go teraz zobaczyć... Zrywam się ponownie do biegu. Jestem sama. Bolesnie sama. Tęsknię do moich rodaków... i zazdroszczę im, tak bardzo im zazdroszczę... Oni też cierpią, ale mają siebie. Ja jestem sama. Ja nie wiem już, co jest prawdziwe... Ja... tracę zmysły... A mojego płaczu nikt nie słyszy...

Nikt... prócz **niego**.

Nagle do moich uszu dochodzi dźwięk, a nogi znów odmawiają mi posłuszeństwa. Oczy rozszerzają się, jakby chciały rozsadzić mi czaszkę. Zastygam w bezgłośnej grozie, oblana zimnym potem. Słyszę metal. Biegnij! Słyszę stal uderzającą o kryształ. Biegnij, głupia! Słyszę głuchy odgłos okutych stal w kopyt uderzających o posadzkę. Uciekaj! Z każdym kolejnym grzmotnięciem moje źrenice rosną coraz bardziej. RATUJ SIĘ! W końcu przełamuję paraliż i rzucam się do panicznego cwału. **On** po mnie idzie! Słyszę jego kroki! Okrutnie powolne... **On** się nie spieszy, nigdy się nie spieszy... Gdyby biegł, gdyby szukał mnie z wściekłością i szalem! Każdy **jego** krok jest nieuchronny. Nieubłagany. Każdy jest uderzeniem rozpacz. Pokazuje mi, że NIE MUSI się spieszyć. Że mnie znajdzie. Zawsze mnie znajduje.

I tym razem nie będzie inaczej.

Szalony bieg prowadzi mnie w końcu do komnaty tronowej. Jest pusta, dzięki niech będą Amarze, jest pusta... Ale z niej wiedzie już tylko jedna droga... W ciemność. W mrok przeklętych schodów. **On** jest coraz bliżej, słyszę, czuję to! Rzucam się w dół schodów, niemal spadając z wąskich stopni. Kroki są coraz głośniejsze. Znajdzie mnie, znajdzie mnie, ZNAJDZIE MNIE! Jestem na samym dnie. Stąd nie ma wyjścia, tylko przeklęte drzwi, które omijam jak najszerszym łukiem. Wiem, że do nich nie można się zbliżyć, nie można ich budzić... już wiem... W ostatnim przypiływie rozpaczyny rzucam się w ciemny kąt pod schodami i zwijam się w kłębek. Może jeśli skulę się wystarczająco mocno, nie zauważy mnie? Może jeśli zacisnę mocno powieki, stanę się niewidzialna? Może skurczę się tak bardzo, że całkiem zniknę i wszystko nareszcie się skończy? Żeby mnie tylko nie zauważył... nie zauważył... nie zauważył... błagam... Nagle zapada cisza. Wstrzymuję oddech. Ciężkie kroki umilkły. Błagam... Przez ciągnącą się niczym wieczność sekundę nic się nie dzieje. Ale... ja... ja wiem...

Wiem, że „łowy” właśnie dobiegły końca.

Magiczna siła wyrzywa mnie z mojej kryjówki. Gwałtownie odwraca mi głowę. Rozwiera brutalnie powieki. Każe spojrzeć sobie w oczy. **On** zawsze każe patrzeć. Jadowita zieleń wyciska ze mnie łzy. Przenika mnie na wskroś. Jestem dla niej przezroczysta. Ślepią cieszą się swoim triumfem. Widzę w nich siebie. Widzę w nich swój obraz. Widzę w nich to, kim naprawdę jestem. Kim byłam. Kim będę.

Własnością.

Wiję się, ale nie błagam o litość. Wiem, że jej nie otrzymam. I wiem, że próba uczyniłaby wszystko jeszcze gorszym. Już wiem. Nie błagam o litość. Z moich zmartwiałych ust wysuwa się tylko jedno słowo.

– Pomocy...

Odpowiada mi jedynie obrzydliwe mlaśnięcie czerwonego jęzora, przesuwającego się powoli po wargach i kłach...

To był sen.

Wciąż trwa głęboka noc, kiedy kryształowa klacz zrywa się gwałtownie z łóżka, niemal dusząc się od krótkich, szarpanych, spazmatycznych oddechów. Jej owładnięte przerażeniem, załzawione spojrzenie kieruje się na stojący przy łóżku magiczny kryształ, rozświetlający pomieszczenie ciepłym, przyjaznym blaskiem. Tak jak zawsze, nie znajduje w nim prawdziwego ukojenia. I tak jak zawsze, ponownie kuli się w

pościeli, zagrzebując się w nią głęboko... niczym mała klaczka chcąc wierzyć, że w ten sposób ukryje się przed koszmarami.

A poduszka łapczywie pożera jej łzy.

.

.

.

Niektórych cieni nie potrafi przegnać nawet jasność Serca.